Skorecki, Tadeusz

W tarnopolskim gimnazjum : (fragmenty wspomnień)

Kwartalnik Historii Prasy Polskiej 16/2, 126-130

1977

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

MUZEUM HISTORII POLSKI

Przez cały okres wydawania naszego pisma, od 1962 r. poczynając, był Profesor redaktorem „Rocznika". Zrazu sekretarzował redakcji Zenon Kmiecik, po nim obowiązki przejął niżej podpisany, zawdzięczając Profesorowi bardzo wiele w dziedzinie doświadczenia redakcyjnego. Była to szkoła twarda, ale też i owocująca. Wytrwałości wystarczyło na całe piętnastolecie, tyle bowiem lat nasz periodyk się ukazuje, a zespół redagujący „Rocznik" (wydawany od początku 1977 r. pod zmienionym tytułem) ma wiele interesujących planów na przyszłość. Profesor Józef Skrzypek ma w tych zamierzeniach swój niemały udział. Niech te wspomnienia będą dowodem, że żyje On nadal w naszej pamięci.

Jerzy Myśliński

W TARNOPOLSKIM GIMNAZJUM
(fragmenty wspomnień)

Moje lata szkolne przypadły na burzliwy okres pierwszej wojny światowej. W 1919 r. wysłano mnie ze Skałata, gdzie się wychowywałem, do Tarnopola, abym tam kontynuował naukę.

Egzamin wstępny do szkoły nie był trudny. Gdy go pomyślnie zdałem, przyjęto mnie do czwartej klasy Drugiego Gimnazjum Klasycznego im. Słowackiego. Szkół średnich było ówcześnie w Tarnopolu sześć: I Gimnazjum Matematyczno-Przyrodnicze, Szkoła Realna, IV Gimnazjum ukraińskie oraz dwa seminaria nauczycielskie — męskie i żeńskie. Moją szkołę nazywano potocznie gimnazjum Lenkiewicza od nazwiska dyrektora, który je własnym staraniem wystawił. Ten powszechnie szanowany i poważny człowiek był równocześnie burmistrzem. Lenkiewicz zrobił wiele dla miasta w okresie swej kadencji, ale z powodu niezależnych przekonań politycznych nigdy nie udało mu się zostać posłem do sejmu, choć tego pragnął.

Gdy już zostałem włączony do klasy, posadzono mnie w ostatniej ławce, gdyż jako piętnastoletni chłopak należałem do najwyższych wzrostem. Byłem jednym ze starszych uczniów bo ze względu na lata wojenne, wiek nasz był bardzo rozmaity. Byli wśród nas i tacy, którzy odbyli już kampanię wojenną, wielu w oddziałach Abrahama, późniejszego generała, i mieli już za sobą niejedno. Niektórzy chodzili nadal w wojskowych mundurach, bo z ubraniami było podówczas krucho. Nie kłaniali się oni na ogół przyjętym zwyczajem przez zdjęcie czapki, ale salutowali po wojskowemu. Ja sam zresztą stawałem również w tym czasie do ochotniczego poboru, ale odrzucono mnie ze względu na zbyt młody wiek.

Skład socjalny klasy — jak to się dzisiaj określa — był niejednolity.

Kilku miało pochodzenie chłopskie, kilku robotnicze, część drobnomieszczańskie, a dwóch nawet hrabiowskie. Większość była z Tarnopola, a czwarta część z okolicznych miasteczek i wsi. Ci ostatni mieszkali zwykle w jednej z dwóch burs. Ta, w której ja mieszkałem, należała do Towarzystwa Szkoły Ludowej i miała około dwustu miejsc. W każdej sali wyznaczano jednego starszego ucznia, zwanego cenzorem, który musiał pilnować swoich współkolegów, aby odrabiali lekcje. Opiekunem bursy był ksiądz Barg, który miał obowiązek dbania o morale młodzieży, jej zachowanie i ogólne postępy w nauce. Najbardziej denerwowało nas, że odklejał i czytał nadchodzące do nas listy. Postanowiłem z kolegą uciec się do groźby i w liście adresowanym do samego siebie napisałem, że sprawię mu lanie, jeżeli odważy się przeglądać moją korespondencję. List wrócił do moich rąk zaklejony, ale z widocznymi śladami księżowskiej ciekawości. I chociaż mi tego nigdy nie wypominał, nasze wzajemne stosunki były raczej „chłodne". Z czasem opuściłem bursę i zamieszkałem u kolegi, kilka kilometrów za miastem.

Do moich szkolnych kolegów należał również Józef Skrzypek, który w bardzo krótkim czasie stał mi się jednym z najbliższych, bo chociaż siedział gdzieś daleko na początku, nazwiska nasze sąsiadowały na liście. Wyczytowano je w kolejności: Sagal, Skorecki, Skrzypek. I to zbliżenie nazwisk stało się, o dziwo, przyczyną ogromnego zbliżenia nas na całe życie. W klasie byliśmy zresztą zawsze najbliższą trójką spod „S". Ten sam strach i zmartwienia przeżywała nasza trójka równocześnie, bowiem uczniów przepytywano zwykle w kolejności alfabetycznej.

Józek był uczniem przeciętnym i niczym charakterystycznym się nie wyróżniał spośród innych czterdziestu czterech kolegów. Był krępy, szeroki w barach i należał do najniższych w klasie. Urósł nagle w okresie matury. Głos miał Józek męski, mówił powoli, choć nie rozwlekle. W dyskusjach zawsze uważał, że ma rację. Dyskutowano podówczas wiele i na różne tematy, bo i czasy były obfite w wydarzenia, ale trzeba zaznaczyć, że uprawianie polityki i czytanie gazet było ówcześnie w gimnazjum zabronione. Agitacja partyjna odbywała się za pośrednictwem czasopism, o których trudno powiedzieć, że były tolerancyjne wobec przeciwników. Napadały one na siebie nawzajem, nie przebierając w środkach, judząc co sił przeciwko swym adwersarzom, co na ogół wobec braku jasno wykrystalizowanego programu politycznego i mało wyrobionej publiczności powodowało zamęt w umysłach. Ideologia partyjna przenikała zresztą najsilniej dzięki powiązaniom rodzinnym. Ja, jak zresztą i cała moja rodzina, byliśmy pod wpływem narodowej demokracji. Przekonał nas do niej i najsilniej propagował ją w domu stryj, który powrócił z wojny z armią gen. Hallera. Józek natomiast pozostawał w kręgu pepesowsko-peowiackim.

Zespół nauczycielski, o którego dobór dbał starannie dyrektor Lenkiewicz, był — jak mi się wydaje z perspektywy czasu — nadzwyczaj poważny i światły. Zdarzało się jednak, że któryś z przedmiotów nie był z powodu braku nauczyciela przez kilka miesięcy wykładany. Jednakże pracujący nauczyciele mieli przeważnie tytuły doktorów swoich dyscyplin. Polskiego, który obejmował nie tylko historię literatury, lecz także architektury i sztuki uczył Halpern, Żyd ze Skałata, który zresztą później został dyrektorem gimnazjum. Był on dobrym mówcą i umiał ciekawie opowiadać. Na mnie największy wpływ wywarł biolog Korduba, Ukrainiec, który sprawił, że aż pięciu z mojej klasy wybrało studia przyrodnicze bądź medyczne. Uczył on metodą poglądową, organizując częste wycieczki na łono natury, gdzie zaznajamiał nas z przyrodą. Urządził nawet wyjazd do Zakopanego. Religii uczył ksiądz Klementowski, wspaniały kaznodzieja, człowiek o wielkim złotym sercu, szczególnie umiłowany przez młodzież. Kiedyś, po samobójczej śmierci jednego z kolegów, który zastrzelił się po odrzuceniu przez wybraną jego oświadczyn, udaliśmy się do niego, aby poprowadził kondukt pogrzebowy. „Czy myślicie — odpowiedział — że nie poszedłbym pożegnać waszego szkolnego kolegi, gdyby mi tylko było wolno!" Pamiętam, jak przedstawił mnie pierwszego dnia komisji egzaminacyjnej jako młodzieńca żądnego wiedzy. Częstokroć w prowadzeniu zajęć, które koncentrowały się wokół czytania *Biblii*, zastępował go wykładowca judaizmu Gatfried, ale odmienność wyznań nie przeszkadzała w tym wypadku w nauce. Religia była zresztą szczególnie faworyzowanym przedmiotem, a do kościoła uczniowie chodzili co niedzielę parami, zbierając się wcześniej przed szkołą. Służenie do mszy św. było przy tym przez katechetę bardzo mile widziane.

Historii uczył wychowawca klasy dr Stanisław Szołajski, a w jego wykłady wsłuchiwaliśmy się jak w najpiękniejsze baśnie. Józek nie miał do niego zbytniego szczęścia, bo często obrywał dwóje, które musiał poprawiać przed końcem roku. Czy tej historii nie umiał, czy też Szołajski czuł do niego jakąś antypatię, trudno stwierdzić. Myślę, że przyczyna leżała gdzie indziej. Profesor Szołajski miał zwyczaj wywoływać przed katedrę po kilku uczniów, zwykle po dziesięciu. Po przepytaniu każdej grupy stwierdzał kategorycznie: „Na miejsca, tumany! Nic nie umiecie!" Tym niemniej pierwsza grupa wywoływanych dostawała zwykle notę bardzo dobrą, druga dobrą, trzecia dostateczną, a reszta niedostatecznie. Mnie udawało się zawsze być w pierwszej, tak, że miałem piątki, chociaż chowając się za plecami kolegów unikałem odpowiedzi. Ale i na mnie znalazł profesor Szołajski sposób, gdyż kazał mi przygotować do poprawki aż pięciu kolegów, którzy przedmiot znali znacznie lepiej ode mnie.

Późniejsza decyzja Józka o wybraniu studiów historycznych spowo-

dowana była nie tyle zainteresowaniami wyniesionymi ze szkoły, ale innymi względami. Po przyjeździe do Lwowa zapisał się na chemię, ale rychło okazało się, że studencki budżet nie wytrzyma trzydziestogodzinnych ćwiczeń w tygodniu. Podobnie przedstawiały się perspektywy studiowania weterynarii. Znacznie natomiast mniejsze obciążenia czasowe na historii, która nęciła go przez swój związek z polityką, z którą się już wcześniej zetknął, pozwalały na równoczesne zarobkowanie, by utrzymać się na uniwersytecie. Wybrał on przeto ten kierunek, gdyż posada profesora gimnazjalnego, oceniana z perspektywy stosunków przedwojennych, wydawała się ówcześnie prestiżowo i finansowo bardzo atrakcyjna.

W szkole istniał chór gimnazjalny, do którego należeliśmy, prowadzony przez Karola Stryję. Przewodzili w nim Sagal, jako drugi bas, i Burzycki, Hryćkiem przezwany, jako pierwszy tenor. My z Józkiem śpiewaliśmy pierwszym, najtrudniejszym w chórze basem. Chór występował publicznie najczęściej w kościele, śpiewając kolędy bądź też przy innych okazjach. My również w klasie zorganizowaliśmy swój własny chór. W czasie dłuższych przerw zbieraliśmy się w kącie klasy, pod piecem, tam właśnie, gdzie ja siedziałem, zasłanialiśmy się rozstawioną na stelażu mapą, śpiewaliśmy i paliliśmy papierosy. Ponieważ nasza klasa była na tym samym piętrze, co i sala konferencyjna, gdzie spędzało przerwę grono nauczycielskie, otwierali oni drzwi i słuchali naszych piosenek. W repertuarze mieliśmy obok polskich dużo piosenek ruskich, których uczył nas Hryćko-Burzycki. Był on Ukraińcem, ale dlaczego porzucił gimnazjum ukraińskie i przeniósł się do polskiego, nikt nie wiedział. Umiejętność zespołowego śpiewu przydała się szczególnie, gdy chodziliśmy z szopką „po kolędzie". Dawało to rzadką możliwość zarobienia paru groszy na uczniowskie potrzeby.

Co roku zjawiał się też w gimnazjum nauczyciel tańca Flis, który prowadził kursy dla klas wyższych. Tańczyliśmy jak szaleni na tak zwanych kompletach, w których uczestniczyły także dziewczęta z seminarium. Należy dodać, że gimnazjalistów obowiązywał zakaz uczestniczenia w zabawach publicznych. To samo zarządzenie obejmowało również nauczycieli.

W szkole istniała również drużyna harcerska, kierowana przez naszego starszego kolegę, druha Bolesława Romanowskiego. Liczyła ona ze trzydziestu chłopców. Skauting był ówcześnie znacznie rozpowszechniony. Ja sam należałem do harcerstwa jeszcze w Skałacie, od dziesiątego roku życia. Pamiętam, jak jeszcze za c. k. Austrii defilowaliśmy ulicami miasteczka, śpiewając po polsku jakieś antyniemieckie piosenki, a nad spokojem naszej demonstracji czuwali cesarsko-królewscy żandarmii w budzących grozę pikelhaubach. Harcerstwo miało zresztą charakter wybitnie paramilitarny. Ciągle organizowano jakieś ćwiczenia polowe, trwające nawet do trzech dni. Poza tym nieustannie dręczono nas

musztrą. Dbano bardzo natomiast o stronę moralną. Każdy harcerz musiał codziennie pochwalić się jednym dobrym uczynkiem, chociażby błahym, jak zrobienie porządku. Zakaz picia i palenia był bezwzględny. Kto go naruszył, a jak wspomniałem, w starszych klasach zaczynało się palić papierosy, zostawał bezwzględnie i bez odwołania wyrzucony.

Poza szkołą nie należeliśmy do tych samych grup. Józek, który pochodził z rodziny kolejarskiej i mieszkał obok parku miejskiego, miał swoją klikę „batiarów", która prowadziła walkę ze śródmiejską, do której ja należałem. Bójki pomiędzy nimi były dość częste, bo i powodów było zawsze mnóstwo. Tarnopol, choć był stolicą województwa, żadną miarą nie mógł uchodzić za metropolię. Toteż dominowały w nim urzędy wojewódzkie i młodzież szkolna, nadając ton miastu. Poza nimi na uwagę zasługiwał jeszcze garnizon wojskowy, który co niedzielę paradował po wyjściu z kościoła przed swoim komendantem na pryncypialnej ulicy Tarnopola, która jednocześnie służyła mieszkańcom za deptak. Stąd też wszyscy znali się przynajmniej z widzenia.

Grupy młodzieżowe, o których wspomniałem, łączyła przeważnie więź sąsiedzka i narodowościowa. Czasem próbowano je organizować na zasadzie skautowskiej, ale nie zawsze coś z tego wychodziło, Podczas wojny docierało do nich POW, ale w moich czasach były to już przebrzmiałe historie. Tamtego życia Józka jednak nie znałem.

Tadeusz Skorecki

*
* *

Gdyby profesor Józef Skrzypek żył, mógłbym właśnie teraz przypomnieć mu, nie bez największego zadowolenia ze swej strony, że znamy się już 44 lata. Liczba nie doznaje zresztą żadnych wstrząsów i pozostaje taka sama, mimo że już sam tylko wywołuję ją w pamięci. Liczba niemała, poważna, przypadkowo nawet mickiewiczowska, chyba w pełni uprawniającą do osobistych wspomnień.

Poznałem tego niezwykłego, w najlepszym sensie na wskroś oryginalnego człowieka w pierwszym tygodniu października 1932 r., w Katedrze Historii Polski Uniwersytetu Jana Kazimierza. Były to jednocześnie pierwsze dni moich studiów wyższych. Romantyk rozpamiętywałby je z rozrzewnieniem; wydaje się przecież, że i historyk, niekoniecznie wyznawca szkoły romantycznej, może sobie w jakimś skromniejszym zakresie na to uczucie pozwolić, wspominając czasy, gdy ledwie skończył siedemnaście lat. Myślę o tym i przeżywam je powtórnie także nie bez żenady. Uniwersytet nie miał ani organizacyjnie, ani strukturalnie, ani pod żadnym innym względem zbyt wiele wspólnego ze szkołą śred-